

Aida Amer

---

*Kroniki*

z życia  
ptaków i ludzi

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2017  
Text © copyright by Aida Amer, 2017

Projekt layoutu okładki *Paulina Radomska-Skierkowska*

Zdjęcia na okładce:

*Charles Whymper, Wikimedia Commons*

*Anton Mauve, Wikimedia Commons*

MP 2263; Chełmoński, Józef (1849–1914); Kurka wodna; 1894;  
olej; płótno; 133 x 198,5; foto: Ligier Piotr/Muzeum Narodowe  
w Warszawie

MP 959; Chełmoński, Józef (1849–1914); Wieś nad wodą; 1913; olej;  
płótno; 34,5 x 56; foto: Wilczyński Krzysztof/Muzeum Narodowe  
w Warszawie

*Dla Czarka*

## Rozdział 7

### Legenda

#### *Żubrynek na Podlasiu, rok 1919*

Najstarsza wnuczka Jana Putry miała na imię Apolonia.

Otrzymała je po prababce, która zaraz po powstaniu styczniowym porzuciła męża oraz małego Jasia i uciekła do Ameryki z przystojnym parobkiem Witkiem. Tam, jak mówiono we wsi, została „królową mydła”.

Parobek, z którym uciekła, najął się do pracy w firmie mydlarskiej Procter & Gamble w Ohio i o mało nie zginął zatruty wyziewami chemicznymi. Wykrał jednak stamtąd recepturę mydła, a potem dorobił się okrągłej sumki, oszukując w pokera. Apolonia i Witold kupili niewielką manufakturę i rozpoczęli produkcję. Podobno to prababka była mózgiem tego interesu, choć trzymała się w cieniu i z wdziękiem udawała śliczną głuptaskę. Ponoć to ona wymyśliła, by dodać różany zapach do mydła i za-barwić je na różowo.

Kilka lat później parobek z Żubrynka i jego dama serca byli już bardzo bogaci. Jako że Ameryka to nie Europa, ich niskie pochodzenie nie miało wielkiego znaczenia. Góra pieniędzy wystarczała zupełnie za hrabiowskie tytuły i rodowe herby. Zapraszano ich na eleganckie przyjęcia, bywali na najgłośniejszych premierach teatralnych, a w wieczór otwierający historię nowego gmachu Metro-

politan Opera w 1883 roku, gdy wystawiano *Fausta* według Charles'a Gounoda, siedzieli w łoży naprzeciwko ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Chestera Alana Arthura. Nikt nie pytał w tym cudownym kraju, czyim mister Witold był parobkiem ani ile krów dziennie doiła niegdyś lady Pola, kiedy nie posiadała jeszcze żadnej diamentowej kolii.

(...)

#### *Żubrynek na Podlasiu, rok 1924*

Gdy dziadek Jan zniknął bez śladu po pogrzebie babki Eugenii, Pola miała siedemnaście lat. Była tak piękna, że jej uroda budziła poważne niepokoje w lokalnej społeczności. Już kilkunastu chłopców starało się o względy ślicznotki, a ich liczba wciąż rosła. Koło domu Putrów coraz częściej wybuchały bójki między samozwańczymi pretendentami do jej ręki. Rzucali się na siebie niczym jelenie na rykowisku, czerwoni na twarzach, z rozpalonymi głowami. Jakby stado byków uderzało kopytami w ziemię. Wydeptali ścieżkę, która w deszczową pogodę wypełniała się wodą i tworzyła przed domem Apolonii wielką kałużę. Wciąż, raz za razem, któryś z młodzieńców rozpaczliwie próbował przegonić konkurentów.

Ona spoglądała na ten spektakl z za koronkowej zazdrostki w oknie i nawet nie drgnęła. Niewidoczna. Może trochę znudzona. Której kobiety nie zepsułyby tak gwałtowne i niekontrolowane uwielbienie ze strony tylu mężczyzn?

Po pogrzebie babci Eugenii Pola długo patrzyła na kwiaty złożone na świeżym grobie. Były piękne i cudownie pachniały. Słodkie róże, żółte chryzantemy, smutne jesienne słoneczniki. Trudno było uwierzyć, że one też umierały. Za kilka godzin opadną im główki, jakby płakały nad swoim losem i smutnym przemijaniem. Za kilka dni zostanie z nich sterta badyli. Suchych i brzydkich. Żadnych pięknych zapachów. Żadnej cudownej barwy. Tylko odpadki cuchnące śmiercią.

(...)

(...)

Eryk Stuhlmacher urodził się w Gąskach roku Pańskiego 1892. Jego rodzice, Liza i Wilhelm, wraz z kilkorgiem młodszych dzieci wyjechali do Bochum w Zagłębiu Ruhry, gdy na początku Wielkiej Wojny w sierpniu 1914 roku wojska rosyjskie zajęły Prusy Wschodnie. Jeszcze w tym samym miesiącu dwie rosyjskie armie zostały przegonione z Prus przez wojska niemieckie, tracąc przy tym dwieście tysięcy żołnierzy, ale Wilhelm Stuhlmacher nie chciał czekać, co będzie dalej. Dla Rosjan dwieście tysięcy w jedną czy drugą to nie różnica. Nigdy się nie przejmowali takimi stratami. Wiedział już, że w tej zawierusze nikt, nawet sam cesarz, nie może mu zagwarantować, że Rosjanie znowu nie wkroczą na jego podwórko i znów nie wybiją połowy stada gęsi lub że jeszcze coś gorszego nie przyjdzie im do głowy.

Spakował więc, co mógł, sprzedał krowy, pozamykał kufry i skrzynie, posadził żonę i dzieci na wozie i ruszył w długą drogę do Bochum. Na tę podróż miał ochotę już od lat. Wielu jego znajomych i sąsiadów wyjechało znacznie wcześniej. Bieda w Prusach Wschodnich doskwierała niejednemu. A tam, w macierzy, przemysł, kopalnie, robota aż furczy. Opowieści o tym, jak wspaniale

żyje się w Bochum czy Dortmundzie, krążyły po okolicy. Wilhelmowi trudno było jednak rozstać się z ziemią, nowym, pięknym murowanym domem, który wybudował na miejscu starej drewnianej chałupy, i z gołębnikiem.

A gołębnik był imponujący. Nikt w okolicy takiego nie miał. Najczęściej gołębiarze stawiali drewniane budki na wysokich słupach. Wilhelm postawił dla swoich gołębi prawdziwy pałac. Murowany, piętrowy, w kształcie czworobocznej baszty. Dolna część była kamienna i przestronna, okna spore, a klatki dla ptaków suche i wygodne. Tam trzymał osobno młode samce i samice, zanim je dobierał w pary lub sprzedawał. Po drewnianych schodkach wchodziło się na piętro zbudowane misternie z czerwonej cegły, gdzie znajdowały się dziesiątki małych okienek i miejsca lęgowe dla sparowanych już gołębi.

Hodował gołębie pocztowe rasy niemieckiej. Piękne, duże i mądre. Białą odmianę. Instynkt kazał im pokonywać każdą przeszkodę i niebezpieczeństwo, by jak najprędzej wrócić do rodzinnego gniazda. Nie wracały jedynie te, które ginęły. Trafiały z powrotem do gołębnika nawet z odległości kilkuset kilometrów, ale Wilhelm trenował je wyłącznie na krótszych dystansach. Nie miał możliwości odbywania dalekich podróży, by wypróbować, czy gołębie wrócą z bardzo daleka. Kochał je ponad wszystko. Spędzał przy nich każdą wolną chwilę.

Eryk, jego syn, uważał gołębie za swoich braci. Dzielił z nimi wszystko: gałęzie na pobliskich drzewach, wzruszające chwile, gdy wykluwały się młode, i miłość własnego ojca.

(...)



– Znowu? – spytał bez entuzjazmu Eryk, gdy Berta pokazała mu zaokrąglony brzuch.

– Rozwiązanie wiosną – odparła Berta.

– Już wiosną?! Przecież jest zima! – zdumiał się Eryk, gdyż musiało to oznaczać, że Berta była w ciąży od pół roku.

Berta Stuhlmacher nieustannie była w ciąży i regularnie raz do roku rodziła. Porody odbywały się najczęściej w nocy albo nad ranem, gdy mrok jeszcze spowijał Gąski oraz okoliczne pola i lasy. Z całego zastępu niemowląt, które powiła, spora grupka nie dożyła nawet swego pierwszego świtu i zasilła niebiańskie zastępy cherubinków. Berta twierdziła, że takie duszyczki się nie liczą. Prawdziwa dusza rodzi się, gdy dziecka dotkną promienie słońca.

Pierwszy był Horst – głośny i wesoły. Następny Eryk junior, podobny do ojca jak odbicie w wodzie. Trzeci urodził się Johan – pracowity po matce. Po Johanie zaczęła się czarna seria. Kilkoro dzieci zmarło zaraz po porodzie. Tę złą passę przerwała śliczna Rut z jasnymi loczkami i jej brat bliźniak Christoph. Po nich przyszła na świat najmniejsza Lily, która dostała imię po białej gołębiczy. Tej, która przeleciała tysiąc kilometrów i wróciła z Bochum z listem od jej dziadka Wilhelma. Lily, ta skrzydlata, została bohaterką i wydała na świat całe pokolenia znakomych lotników. Jej wnuki i prawnuki wygrywały konkursy i przysporzyły Erykowi wiele radości i sporo pieniędzy. Pisklęta po Lily były w cenie.

Eryk kiwał głową zamyślony. Siódme dziecko. Mój Boże. Nic nie było widać. Berta bardzo przytyła już po pierwszej ciąży. Piersi miała potężne i wciąż pełne mle-

ka. Karmiła bezustannie. Najczęściej dwoje dzieci. To nieco starsze i to właśnie urodzone. Tym razem karmiła jeszcze jedno z bliźniąt – Rut i małą Lily, a za kilka tygodni miało urodzić się następne. Będzie więc zmuszona odstawić Rut, bo choć mleka było dużo, to nie starczyłoby dla trojga.

(...)

Mijały miesiące, a Fritz, choć chudy i blady, wciąż żył. Berta odstawiła od piersi Rut, by Fritz miał dość mleka. Dziewczynka płakała i nienawidziła brata. Po latach, gdy żadne z nich nie pamiętało już przepychanki do piersi matki, nadal go nie znosiła.

Błąkając się samotnie po okolicach, pięcioletni Fritz trafił pewnego dnia do domu frau Berg. Był to niewielki nieotynkowany budynek z pruskiego muru z pomalowanym na biało płotkiem, wesołymi begoniami w oknie oraz eleganckimi malwami i szlachetnymi różami przed wejściem.

Pani Berg pracowała niegdyś jako nauczycielka w szkole, ale teraz prowadziła już tylko chór kościelny. Chciała uczyć gry na skrzypcach, ale w Gąskach od wielu lat nie znalazła chętnych do takiej nauki.

Miała opinię niegroźnej wariatki. Co wtorek i czwartek jeździła otwartą dwukółką na stację kolejową w Kijewie. Siadała na ławce i czekała na pociąg z Lyck, czyli z Ełku. Gdy przyjechał, wstawiała i uważnie przyglądała się wysiadającym. Potem powolnym krokiem i z opuszczoną głową wracała do swojej dwukółki i jechała do do-

mu, nie zwracając uwagi na ludzkie spojrzenia i złośliwe śmiechy.

Pani Berg miała około sześćdziesiątki i wciąż smukłą sylwetkę z talią jak cesarzowa Sisi w wieku dwudziestu lat. Nosiła gorset, długie suknie z koronkami i duże kapelusze, choć moda na nie dawno przeminęła. Nie wychodziła z domu bez rękawiczek i parasolki. Długie siwe włosy upinała w fantazyjne koki, jak nakazywała moda sprzed trzydziestu paru lat, gdy pani Berg była młoda i szczęśliwa, a świat nie zaznał jeszcze grzechów dwudziestego stulecia, więc był czysty i niewinny jak nowo narodzone dziecko.

## Rozdział 16

### Exodus

*Monachium, marzec 1945*

(...)

Nad ranem do sutereny wbiegły jakieś dzieci. Troje małych, może ośmioletnich, może trochę młodszych, i dwoje starszych: chłopak miał około trzynastu lat, i jeszcze dziewczyna, najstarsza w tej grupie. Wszyscy przerażeni, odrapani i nieprawdopodobnie brudni. Śmierdzieli, jakby wyszli z kanałów, i byli strasznie rozczochrani.

– Macie trochę wody – powiedział do nich Kacper piękną niemczyzną i podał manierkę dziewczynie. Nie podziękowała, tylko podejrzliwie przyglądała się trzem mężczyznom. Wypiła trochę i podała dalej. Na drobnej buzi malowała się surowa mina żołnierza.

– A macie coś do jedzenia? – spytał nieśmiało najmłodszy chłopiec w za dużych butach, które przy każdym kroku zsuwały mu się ze stóp. Najwyraźniej ściągnął je z jakiegoś trupa i zamierzał nosić, póki nie znajdzie obuwia w swoim rozmiarze.

– Coś tam wyskrobiemy... – odpowiedział Kacper i podał im sporą pajdę chleba kupionego kilka dni wcześniej w jakieś wsi po drodze. Rzucili się na nią i rozszarpali na kawałki, popychając się nawzajem i walcząc o każdy okruszek. Bombardowanie trwało, ale jakby trochę dalej.

Potem siedzieli w kącie i zatykali sobie uszy, aż odgłosy apokalipsy umilkły. Najmłodszy chłopiec w za dużych butach wycierał nos rękawem. Płakał albo miał katar. Nie wiadomo.

Rano, gdy Jasiak po kilku przespanych godzinach otworzył oczy, dzieci już nie było. Nie pojawiły się przez cały dzień. Wróciły dopiero późną nocą. Bez słowa zjadły nadgnięłe warzywa, które przyniosły ze sobą, i zasnęły na siedząco, oparte o ścianę i przytulone do siebie.

– Musimy się stąd wydostać – mówił Jan, gdy zostali sami następnego ranka.

– Nie wydostaniemy się, póki nie wejdą tu alianci. Wszędzie wokół wojska amerykańskie i brytyjskie. Mysz się nie przedrze. Jesteśmy uwięzieni w tej norze, póki nie zdobędą miasta. Póki nie wygramy tej cholernej wojny.

– A wygramy? – spytał Jasiak cicho.

– My tak, ale nasi tam, w Polsce...

Dzieci znów wróciły na noc. Nie było z nimi najmłodszego chłopca w za dużych butach.

– Gdzie mały? – spytał Kacper najstarszej dziewczyny z jasnym warkoczem.

– Nie ma – odpowiedziała lodowatym głosem.

– A gdzie jest?

– Nie ma. – Dziewczynka usiadła pod ścianą, podkurczyła nogi i objęła kolana ramionami. – Nie ma! – krzyknęła ze złością.

Kacper zamilkł. Zrozumiał, że stało się coś złego.

Pozostałe dzieci się nie odzywały. Położyły się na ziemi i zawinęły w brudne szmaty. Tej nocy nic nie zjadły. Żadne też o nic nie poprosiło. Wilgotne mury cuchnęły

stęchlizną. Z utęsknieniem czekały na wiosnę i słońce. Czekały mury i czekali ludzie.

Noc była zimna. Kacper rozpałił ognisko w piwnicy. Ustawił kociołek, przejrzał zapasy w koszach i workach i ugotował grochówkę z ziemniakami. Miał nawet trochę majeranku oraz czosnek, więc w całym pomieszczeniu rozszedł się smakowity zapach. Brakowało tylko boczku. Dzieci nieśmiało podniosły głowy. Już nie udawały, że śpią.

Kacper nalał zupę do trzech misek. Dla dzieci znalazł naczynia na kupie śmieci na podwórku. Leżało tam mnóstwo rzeczy, które tracą rację bytu, gdy nikt ich nie potrzebuje. Dwie miski, jeden kubek i jeden blaszany garnuszek bez ucha odzyskały sens swojego istnienia.

Zjedli wszyscy: głuchoniemi Jan i Jaś, Kacper, czworo dzieci i prawie niewidzialny, choć paskudny pies. Dzieci najwyraźniej nie widziały ciepłego posiłku od miesiocy. Jadły w milczeniu. Podobnie jak pies były skupione i bezgranicznie oddane wylizywaniu resztek zupy z dna naczyń.

– Gerald zginął w piwnicy – odezwała się wreszcie dziewczyna, gdy naczynia były już czyste jak nigdy dotąd. – Zawałiła się, kiedy wszedł szukać jedzenia. W niektórych piwnicach są jeszcze ziemniaki, a nawet słoiki z przetworami. Przeszukujemy je codziennie. Wszedł przez małe okienko i wtedy... padła cała ściana. Nas tylko przysypał kurz, bo byliśmy na zewnątrz. On został w środku. Tylko on mógł przejść przez tak małe okienko.

Kacper siedział nieruchomo z blaszaną miską pełną zupy. Zupa stygła. On o niej zapomniał.

– Nienawidzę ich wszystkich! – wybuchła płaczem dziewczyna i podniosła wzrok na Kacpra. Znow była

dzieckiem. Przerażonym, samotnym dzieckiem na kupie gruzów, która była kiedyś jej światem. – Nienawidzę tych głupich aliantów. To oni zamordowali wszystkich. Tatę, mamę, teraz jeszcze Geralda. Już nie mam nikogo. Mama kazała mi się nim opiekować... Jak tu przyjdą, to będę ich zabijać. Po jednym. Wszystkich! Póki sama nie zginę!

– To był twój brat? – spytał cicho Kacper.

Dziewczyna skinęła głową.

– Jak masz na imię?

– Gisela.

Spędzili w piwnicy wiele dni, oczekując, aż zmieni się cokolwiek w otaczającym ich straszonym świecie. Zapasy topniały, mimo że Kacper polował na gołobie i codziennie wyruszał na poszukiwanie żywności. Miasto było otoczone i żadne chłopskie furmanki z okolicznych wsi nie przyjeżdżały z mąką, ziemniakami, kapustą i mięsem. Monachium umierało z głodu. Naloty ustały, więc Kacper uznał, że wojska lądowe są blisko. Było słyhać odgłosy walk. Ile jeszcze? Dzień? Trzy dni? Miesiąc?

(...)

– Hej, ludzie! – wołał Jan Putra, stary człowiek sam w obcym, wrogim kraju.

Wiele godzin zajęło mu odszukanie szpitala. Zaprzęgi konia, położył Giselę na dnie wozu i ruszył. Nie znał ani niemieckiego, ani angielskiego. Za wroga uważali go więc zarówno Niemcy, jak i alianci. Narysował na desce krzyż, ale nie miał czerwonej farby. Użył zwęglonego drewna. Nikt go nie rozumiał. Kilka razy odesłano go na podmieję-

ski cmentarz, gdzie do dziury wrzucano nagie trupy. Szpital! Nie cmentarz! Lekarz. Boże, pomóż. Nuśka pomóż!

Mimo że nie miał szans, trafił. Ktoś wskazał kierunek palcem, ktoś podbródkiem pokazał, dokąd jechać. Znalazł szwalnię i przyniósł Gisełę z wozu, na którym ułożył ją na miękkim posłaniu ze szmat i własnego płaszcza. „Dziękuję, Nuśka”.

– Doktora trzeba! – wołał po polsku drżącym głosem starzec, który nie miał już ani trochę sił. Ani trochę. Nawet na jeden krok.

Nogi ugięły się pod Janem jak połamany chrust. Upadł na kolana, wciąż trzymając ciało dziewczyny na rękach.

Wołał pomocy, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. I wtedy to z piersi starego człowieka wydobył się zwierzęcy skowyt. Bez słów, w żadnym języku ludzi, bez treści, jak pod wieżą Babel. Zrozumiano go wreszcie.

Wszyscy zrozumieli.

Nagle w starej szwalni, w której gwar i rozgardiasz były większe niż na bazarze w dzień targowy, w tym przybytku publicznego cierpienia i umierania, zrobiła się cisza. Lekarze stanęli, pielęgniarki i zakonnice zatrzymały się w biegu z bandażami, wiadrami, szmatami, pojemnikami z uciętymi kończynami, miskami z zupą, nocnikami, kubkami z lekarstwami, miednicami z krwawą wodą. Ranni przestali w malignie wzywać matki i żony, a chorzy na tyfus jęczeć i wołać: „Siostro!”.

Wszystkie oczy zwróciły się na starca, którego wcześniej nikt nie zauważał.



Gisela miała połamane żebra, roztrzaskaną szczękę i pękniętą czaszkę. Cios Kacpra powinien był ją zabić na miejscu. Jakimś cudem jeszcze słabo oddychała.

Kacper nie myślał o niej. Wybiegł z Jaśkiem na rękach i szukał pomocy dla ciężko rannego chłopca. Ciosu wymierzonego Giseli nawet nie pamiętał. Zostawił dziewczynę z dziećmi i starcem, bez szans na przeżycie.

Dzieci płakały, ale nic nie mogły zrobić. Usiadły wokół nieprzytomnej Giseli i patrzyły, jak przez dziurę w głowie wycieka z niej życie.

Jan drżał na całym ciele. Początkowo wydawało mu się, że nie zdoła się poruszyć. Siedział na podłodze piwnicy i patrzył na plamę krwi rosnącą wokół głowy dziewczyny. Małej blondyneczki, która pewnie zabiła jego prawnuka. Był dla niej jednym z aliantów. Przecież obiecywała, że wszystkich pozabija. Pomści śmierć ojca, który zamarzył w dziwacznej pozie w jakimś dole pod Stalingradem, śmierć matki, którą rozerwała aliancka bomba w ich domu, tu w Monachium, i śmierć Geralda, który zginął pod gruzami rozsypującego się miasta.

Dziewczyna, właściwie dziewczynka, nie miała przecież więcej jak czternaście lat. Chociaż była wysoka, cechowała ją jeszcze dziecięca niezgrabność. Jak młoda sarenka, która dopiero stawia pierwsze kroki. Trochę wysunięte do przodu duże zęby, piegi i włosy koloru spranego lnu.

Jasne włosy zlepione ciemną krwią wyglądały nierealnie. Błada zazwyczaj twarz była teraz biała jak papier. Gisela oddychała, ale bardzo słabo.

Zauważyli go. Wszyscy. Także Kacper czuwający przy Jaśku pozawijanym w bandażu i wciąż nieprzytomnym. Zerwał się z małego taboretu ustawionego koło łóżka. Pobiegnął do Jana i odebrał Giselę od klęczącego starca płaczącego w głos.

– Ratujcie to dziecko – szepnął Jan i osunął się na podłogę.

Doktor Cooper nie uciął nogi żołnierzowi. Przekazał go innemu lekarzowi i natychmiast zajął się Giselą. Wywieziono ją z wielkiej sali starej szwalni. Poskładanie czaszki najwyraźniej wymagało jednak odrobiny intymności, bez obecności tłumu chorych na tyfus lub czerwonkę. Oznaczało to, że biednemu żołnierzowi, który miał pecha, chwilę potem amputowano nogę na oczach setki ludzi. Żołnierz spał uśpiony eterem, więc było mu wszystko jedno, ale obecni na sali gapili się z otwartymi gębami i wstrzymywali oddech.

Operacja trwała i trwała.

Kacper czekał.

Jan dostał zawału serca.

Gisela umarła.

(...)

## Rozdział 20

### Z pamiętnika Jana Snarskiego

*Wiosna 1949 roku*

Była tak piękna, że nie pasowała do mojego posępnego życia pokonanego wojownika. Miała długie palce, jak pianistka, i ciemne brwi nad zielonymi oczami. Przychodziła do brzozowego zagajnika, by wśród niemieckich grobów szukać grzybów. Nosiała wiklinowy koszyk podobny do tego, jaki moja matka zabierała do ogrodu, by układać w nim ścięte nożycami herbaciane róże.

Spacerowała między grobami. Nie wiedziała, że przez ciemne okna domu, który należał kiedyś do pani Blinsky, obserwuję każdy jej ruch. Nie domyślała się. Wycierała spoconą twarz brzegiem spódnicy, szeptała do siebie, czasem się uśmiechała, czasem płakała. Siadała na polanie między grobami i długo patrzyła w korony drzew. Ziewała, nie zasłaniając ust.

Znałem ją. Była matką Piotra, mojego ucznia. Tego, który swą obecnością w szkole nadawał sens i przydawał kolorów mojej pracy.

Patrząc na nią, z trudem mogłem wyobrazić sobie ją jako matkę. Wyglądała bardzo młodo, a jej syn był tylko o pół głowy niższy ode mnie. Jeszcze rok, najdalej dwa, i mnie przerośnie.

Pewnego dnia obserwowałem ją z za koronki, która była dziełem pani Blinsky, gdy do domu weszła Felicja. Jak zawsze bez pukania, pytania, zaproszenia czy choćby ostrzeżenia. Weszła, skrzecząc od drzwi, że „skaranie bo-skie z tymi antychrystami”.

Obróciłem się gwałtownie. Poruszyła się firanka. Do-niczka z pelargonią z wielkim hukiem spadła na podłogę. Kobieta wśród krzyży zdobionych swastykami zamarła w bezruchu. Jakby zła wróżka zamieniła ją w kamień. Po-woli podniosła wzrok na moje okno.

Od tego dnia zmiana jej zachowania była wyraźna. Chodziła po brzozowym zagajniku z wyprostowanymi plecami. Warkocz miała porządnie zapleciony, grzyby w koszyku starannie ułożone, niczym na międzynarodową wystawę. Nie szeptała do siebie, nie była już sama. Wiedziałem, że ona wie, że ja stoję w oknie i na nią pa-trzę.

Kończył się październik, gdy postanowiłem wyjść z kryjówki.

– Te grzyby to są niemieckie? – zapytała, gdy zobaczy-ła, że nadchodzę.

– Bardzo. Bardziej niż te z za potoku.

Uśmiechnęła się.

(...)

*Sierpień 1954 roku*

(...)

O tym, że „Huzara” aresztowano, dowiedziałem się od Felicji. Ta kobieta nie przestawała mnie zdumiewać. Po-

dobno całe Podlasie trzęsło się od tej wiadomości. Oskarżenie brzmiało: „Zdrada stanu i współpraca z wywiadem wrogiego mocarstwa”.

Zabili go rok później. W październiku 1953. Wtedy kosmate łęki zaczęły wypełzać z kątów mojego domu. Byłem szalony, myśląc, że mnie się uda przetrwać. Pytania, które nie przestawały boleśnie atakować mojej głowy, brzmiały: jak i kiedy?

Od zabicia „Huzara” minął już prawie rok, a te pytania nadal nie dają mi spokoju. Widzę, jak bociany zbierają się na łąkach i przeoranych polach. Jeden przy drugim. Tak gęsto, że z trudem stąpają wśród bruzd ziemi i je-siennych traw.

Zobaczyłem je wczesnym rankiem, gdy mgła była jeszcze gęsta i słońce tonęło w niej jak w wacie. Właściwie cienie tych ptaków kołujących nad światem. Nie rozpoznałem ich. Wyglądały jak uwolnione od grawitacji dusze wybierające się w podróż do niebieskich bram. Latały wkoło. Zasłoniły niebo, które wydawało się kołować razem z nimi. Tysiące, dziesiątki tysięcy bocianów. Bociany z całej Polski zebrały się nad moim domem. Uderzały skrzydłami w kłęby mgły i rozproszyły jej zasłonę.

Gdy tylko przywołały słońce, by uświetniło ich święto, rozpoczęły pożegnalną pieśń. Klekotały i latały nadal wokoło, ale teraz, w promieniach porannego słońca, co chwila grupa kilkunastu bocianów odrywała się od krążącej chmury ptaków. Odlatywały i odlatywały. Żegnały się ze starymi znajomymi i młodzieżą wyruszającą po raz pierwszy. Do zobaczenia w marcu, gdy ziemia znów zapachnie życiem! Szczęśliwej podróży! Dobrych wiatrów! Uważajcie na krokodyle!

Ja nie odleciałem do Afryki, nawet nie próbowałem. Nie uciekłem, nie ukryłem się w lesie. Uczę polskiego w mojej pachnącej żywicą szkole i zerkam w stronę domu Sztulmowskich z nadzieją, że nadchodzącej zimy Pola zechce wstąpić do mnie jak kiedyś, by rozjaśnić ciemne dni.

Na wiosnę wybudowałem nową stajnię. Piękną, kamienną, z dużymi boksami dla kobyły ze źrebakami. Na razie miałem tylko jedną wspaniałą klacz. Córkę czempiona sprzed wojny. Kupiłem ją i dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że zostawiam zwierzę samo w tak dużej, zimnej stajni. Chodziłem do niej. Czyściłem, gładziłem, karmiłem. Popołudniami zabierałem ją na przejażdżki po polach i lasach. Co za kobyłka! Znajdę jej narzeczonego. Podobno wrócili do Janowa Podlaskiego araby porwane przez Niemców w 1944. Wywieźli je gdzieś pod Dreźnie, ale wrócili! Przecież znajdzie się jakiś młody, piękny ogier dla mojej damy. Gdyby tak było mi dane stworzyć własną hodowlę... Ta klacz byłaby jak pramatka Ewa dla mojego stada. Jej potomstwo może przynieść fortunę temu, kto będzie miał dość rozumu, żeby się nią zająć, gdy mnie już powieszą.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24 c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

**www.wnk.com.pl**

*Książkę wydrukowano na papierze*  
*Creamy Hi Bulk 53 g/m<sup>2</sup> wol. 2,4.*  
????

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*  
Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*  
Redakcja *Magdalena Adamska*  
Korekta *Zofia Kozik, Małgorzata Ruszkowska, Roma Sachnowska*  
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-13177-5

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań